



Juliusz Verne

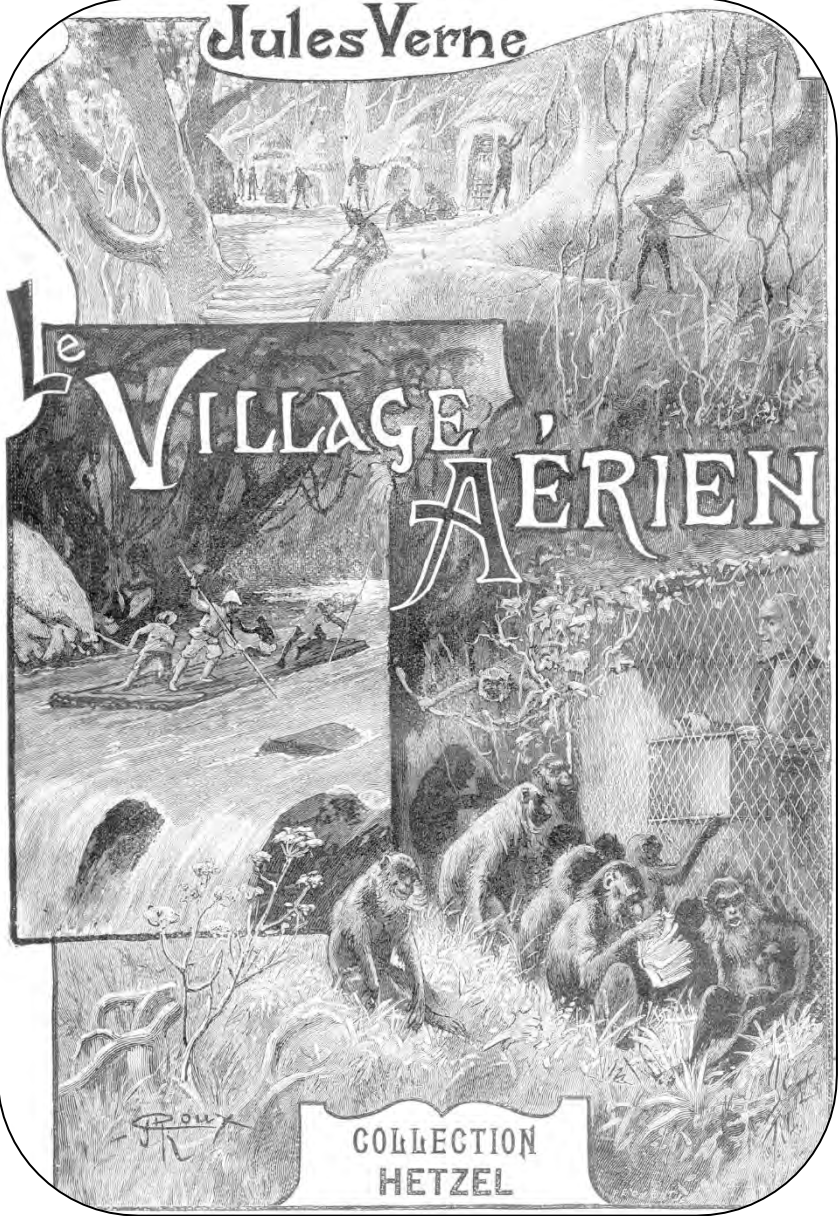
Napowietrzna wioska



ISBN 978-83-66980-14-3

Jules Verne

Le VILLAGE AÉRIEN



Forou

COLLECTION
HETZEL

Juliusz Verne

NAPOWIETRZNA WIOSKA

Juliusz Verne



NAPOWIETRZNA WIOSKA

Przełożył i przypisami opatrzył Janusz Pultyn

**Dziewięćdziesiąta szósta publikacja elektroniczna
wydawnictwa JAMAKASZ**

Tytuł oryginału francuskiego:
Le Village Aérien

© Copyright for the Polish translation
by Janusz Pultyn, 2021

39 ilustracji, w tym 6 kart tablicowych kolorowych
i jedna mapka: George Roux (zaczepnięte
z XIX-wiecznego wydania francuskiego)

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk
Korekta: Andrzej Zydorczak
Konwersja do formatów cyfrowych: Andrzej Zydorczak

**Patron serii „Biblioteka Andrzeja”:
Polskie Towarzystwo Juliusza Verne’a**

Wydanie I
© Wydawca: JAMAKASZ

ISBN 978-83-66980-14-3

Wstęp

Afryka zawsze fascynowała Juliusza Verne'a, chyba najbardziej ze wszystkich kontynentów. To od niej zaczęły się „Niezwykłe Podróże” – pierwszą powieścią z tej serii, zapoczątkowującą wielką karierę literacką dramaturga i maklera giełdowego, było „Pięć tygodni w balonie” (1863), rzecz o podróży aeronautycznej do źródeł Nilu. Potem Czarodziej z Nantes napisał jeszcze „Przygody trzech Rosjan i trzech Anglików w Afryce Południowej” (1871), „Piętnastoletniego kapitana” (1878), „Gwiazdę Południa” (1884) i wreszcie „Napowietrzną wioskę” (1901), żeby wymienić tylko te książki, w których Czarny Ląd, ten właściwy, nie licząc obszarów mużułmańskich, nadsaharyjskich, odgrywa wiodącą rolę. W miarę wypełniania białych plam na jego mapie ubywało tajemnic, które pisarz mógł twórczo wykorzystać, od czego jednak miał wyobraźnię! Wodze fantazji puścił luźno w opowieści o ni to ludziach, ni małpach, zamieszkujących w osadzie zbudowanej w koronach drzew. Posługują się oni własnym językiem, znają ogień i czczą jakąś istotę o boskim charakterze. Wszystko to świadczy o pewnym stopniu zaawansowania cywilizacyjnego tej zagadkowej społeczności. Dwaj podróżnicy, którzy tam przypadkiem docierają, Francuz i Amerykanin, z wyniosłością typową dla ówczesnych przedstawicieli „wyższej rasy”, próbują zgłębić tajemnice „dzikusów” i przeżywają różne przygody, które zapewniają napięcie dramaturgiczne i podtrzymują zainteresowanie czytelników.

„Napowietrzną wioskę” Verne napisał pod koniec życia i nie było to jego szczytowe osiągnięcie literackie. Powieść osadzona była mocno w królującym w XIX w. ewolucjonizmie i dziś może razić schematyzmem i białym suprematyzmem. Nie można jej natomiast odmówić narracyjnej dynamiki i lekturowej atrakcyjności.

Francuscy czytelnicy poznawali tę opowieść w odcinkach na łamach „Magasin d'Éducation et de Récréation” (od 1 stycznia do 15 czerwca 1901 r.), pod tytułem „Wielki las”, i jeszcze w tym samym

roku mogli nabyć jej wydanie książkowe, już jako „Napowietrzną wioskę” – bez ilustracji (w lipcu) lub z rycinami George’a Roux (w listopadzie).


Ciekawa jest polska recepcja tej powieści. Jako „Wielki las” ukazywała się równoległe z oryginałem francuskim w czasopiśmie „Ziarno”, w przekładzie niejakiej Heleny S. W tym samym 1901 r. „Przyjaciel Dzieci” drukował ją w tłumaczeniu Bronisławy Kowalskiej, pod tytułem „W puszczech Afryki”. W 1907 r. wyszło ono w wersji książkowej nakładem Michała Arcta. Nowe spolszczenie, W. Walczewskiego, przygotowała tarnowska oficyna H. L. Lehrhaupta. Nosiło tytuł „Osada w powietrzu” i miało dwa wydania w 1925 r. oraz jedno w 1931 r. Później, dwa razy w 1931 r. i raz w 1932 r., wypuściły je wydawnictwa warszawskie. Po wojnie książkę zaczęła drukować „Nasza Księgarnia” – w przekładzie Olgi Nowakowskiej i z tytułem, który używany jest do dziś, czyli „Napowietrzna wioska”. Wysła w tej wersji od 1960 do 1984 r. cztery razy. W 2010 r. krakowska „Zielona Sowa” zaproponowała tłumaczenie Marty Olszewskiej (dwie edycje w serii „Podróże z Verne’em” rekomendowanej przez Polskie Towarzystwo Juliusza Verne’a). I wreszcie w 2016 r. wydawnictwo Hachette Polska przypomniało odświeżony przekład Bronisławy Kowalskiej w serii „Niezwykłe Podróże Juliusza Verne’a”.

Obecny przekład Janusza Pultyna, z wnikliwymi przypisami i kompletem oryginalnych ilustracji, wieńczy długą historię polskich edycji tej niezbyt obszernej, ale popularnej i lubianej przez czytelników powieści.

dr Krzysztof Czubaszek
Prezes Polskiego Towarzystwa Juliusza Verne’a

Rozdział I

Po długiej wyprawie

 jak tam z Kongiem amerykańskim? – zapytał Max Huber. – Czyżby nie było już o nim mowy...?

– A dlaczego miałyby być, drogi Maksie...? – odparł John Cort. – Czy w Stanach Zjednoczonych brakuje rozległych przestrzeni...? Pomiędzy Alaską a Teksasem pozostaje do nawiedzenia jakże wiele nowych i całkowicie pustych obszarów...! Uważam, że zanim zabierzemy się do zajmowania ziem poza moim krajem, lepiej dokonać kolonizacji tych, które są w nim...

– Och, mój miły Johnnie, jeśli sprawy pójdą tak dalek, to państwa europejskie w końcu podzielą między siebie Afrykę, ład o powierzchni około trzech miliardów hektarów...! A Amerykanie mieliby zostać jej w całości Anglikom, Niemcom, Holendrom, Portugalczykom, Francuzom, Włochom, Hiszpanom czy Belgom...?

– Amerykanie nie mieliby co z nią robić, podobnie zresztą jak Rosjanie – odpowiedział John Cort. – Zresztą z tego samego powodu...

– Jakiego?

– Po co trudzić nogi, skoro wystarczy tylko wyciągnąć rękę...

– Akurat! Drogi Johnnie, któregoś dnia rząd federalny upomni się o swoją część afrykańskiego tortu... Jest już Kongo Francuskie, Kongo Belgijskie, Kongo Niemieckie, nie licząc Konga Niepodległego¹, któ-

¹ *Kongo Francuskie* – kolonia francuska istniejąca od 1891 roku (od 1903 pod nazwą Kongo Środkowe), w latach 1910-1958 w składzie Francuskiej Afryki Równikowej, od 1958 autonomiczna republika w ramach Wspólnoty Francuskiej, od 1960 niepodległa Republika Konga (początkowo pod nazwą Kongo Brazzaville); *Kongo Belgijskie* – belgijska kolonia w centralnej Afryce, w dorzeczu rzeki Kongo; obszar ten był celem belgijskiej ekspansji od 1887 roku, formalnie należąc do króla Belgii Leopolda II, który dopiero w 1908 przekazał ten obszar państwu; w 1960 kolonia uzyskała niepodległość, obecnie: Demokratyczna Republika Konga; *Kongo Niemieckie* – tereny w dorzeczu Konga, należące dawniej do Kamerunu, kolonii niemieckiej od roku 1884; Ce-

re czeka tylko na okazję złożenia w ofierze swojej niezależności...!
I cały ten kraj, który przemierzamy od trzech miesięcy...

– Jako ludzie ciekawi świata, zwykli ciekawscy, Maksie, a nie jako zdobywcy...

– Różnica nie jest wcale duża, szacowny obywatelu Stanów Zjednoczonych – rzekł Max Huber. – Powtarzam: z tej części Afryki Unia¹ mogłaby wykroić dla siebie wspaniałą kolonię... Tutejsze żyzne ziemie aż się proszą, żeby je uprawiać, a wszelkie koszty ich nawadniania ponosi sama natura. Posiadają sieć wodną, która nigdy nie wysycha...

– Pomimo tego koszmarnego upału – zauważył John Cort, ocierając spalone tropikalnym słońcem czoło.

– Phi! Nie przejmujemy się nim! – ciągnął Max Huber. – Czyż nie dostosowaliśmy się już do tego klimatu, rzekłbym wręcz, zmurzyliśmy, drogi przyjacielu...? Mamy dopiero marzec, a co powiesz na temperatury w lipcu i w sierpniu, kiedy to promienie słoneczne będą przewiercały naszą skórę niczym ogniste świdy...!

– Tak czy owak, Maksie, z naszym cienkim naskórkiem Francuza i Amerykanina naprawdę trudno przyjdzie nam się przemienić w Pahuinów czy Zanzibarczyków²! Przyznaję jednakowoż, że wkrótce zakończymy tę piękną i zajmującą podróż, podczas której los nam sprzyjał... Spieszno mi powrócić do Libreville³, aby w naszych faktoriach odnaleźć

sarstwo Niemieckie planowało zajęcie północnej części Konga Belgijskiego, aby połączyć swe kolonie Kamerun i Tanganikę, utracone przez Niemcy w wyniku I wojny światowej; *Kongo Niepodległe* (Wolne Państwo Kongo) – królestwo w środkowej Afryce, na terenie dzisiejszej Demokratycznej Republiki Konga w latach 1885-1908, będące prywatną własnością króla Belgów Leopolda II.

¹ *Unia* – określenie Stanów Zjednoczonych, wywodzące się z czasów wojny secesyjnej (1861-1865), kiedy Unią nazywano stany północne, walczące z południowymi, tworzącymi Skonfederowane Stany Ameryki.

² *Pahuini* (nazywani też Fangami lub Pangwe) – grupa etniczna rozpowszechniona w trzech krajach Afryki Centralnej: Gwinei Równikowej, Gabonie i Kamerunie; *Zanzibarczyki* – mieszkańcy Zanzibaru, wyspy u wschodnich wybrzeży Afryki, obecnie autonomicznej części Tanzanii.

³ *Libreville* – obecnie stolica i największe (700 tys. mieszkańców) miasto Gabonu, położone na północnym zachodzie kraju, nad Oceanem Atlantyckim; powstało w roku 1849 jako osada dla uwolnionych niewolników, stąd nazwa (Wolne Miasto), główny port

trochę spokoju, trochę odpoczynku, bardzo naleźnego podróżnikom po trzech miesiącach takiej wędrówki...

– Zgoda, przyjacielu, nasza pełna przygód wyprawa była całkiem interesująca. Mimo to przyznam ci się, że nie spełniła wszystkich moich oczekiwań...

– No jak to, Maksie? Setki mil przebytych przez nieznaną kraj, sporo niebezpieczeństw ze strony mało gościnnych plemion, wystrzały z broni palnej w odpowiedzi na ciosy sagajów¹ i chmury strzał z łuków; polowania, które swoją obecnością zaszczyciły numidyjski lew i libijska pantera², całe hekatomb³ słońi dokonywane dla zysku naszego szefa Urdaksa, wielkie plony kości słońskiej pierwszej jakości, która wystarczyłaby na pokrycie klawiszy fortepianowych całego świata...! A ty mi tutaj oświadczasz, że nie czujesz się w pełni zadowolony...?

– I tak, i nie, Johnie. Wszystko to było chlebem powszednim wielu znanych badaczy środkowej Afryki... Czytelnik odnajdzie to w sprawozdaniach Bartha, Burtona, Speke'a, Granta, du Chaillu⁴. Livingstone'a, Stanleya, Serpy Pinto, Andersona, Camerona, Mage'a,

Francuskiej Afryki Środkowej; *Faktorie* – osady zakładane w koloniach lub w państwach niezależnych dla prowadzenia wymiany handlowej, często wyłączone spod jurysdykcji miejscowej, podlegające wyłącznie prawom zakładających je mocarstw.

¹ *Sagaj* – oszczep afrykańskich wojowników; także rodzaj sztyletu używany przez ludy wschodnie i południowe.

² *Lew numidyjski* – lew żyjący na terenie Numidii (historyczne państwo Berberów w północnej Afryce); *pantera libijska* – pantera żyjąca na terenie Libii.

³ *Hekatomba* – w religii starożytnych Greków najwyższa ofiara, w której zabijano sto sztuk bydła; przenośnie wielka, krwawa zagłada.

⁴ Heinrich *Barth* (1821-1865) – niemiecki geograf i podróżnik; w latach 1849-1855 zbadał Saharę, okolice jeziora Czad, odkrył rzekę Benue i dotarł w przebraniu do Timbaktu; zostawił cenne opisy podróży; Richard Francis *Burton* (1821-1890) – angielski żołnierz, dyplomata, lingwista, pisarz, podróżnik; odkrywca w Indiach, na Bliskim Wschodzie, w Afryce i Ameryce Południowej; John Hanning *Speke* (1827-1864) – angielski podróżnik, oficer; badacz Afryki; w 1858 roku odkrył jezioro Tanganika (z R.F. Burtonem) i Jezioro Wiktorii, które uznał za źródło Nilu; w 1861 odkrył rzekę Kagera (z J.A. Grantem), a w 1862 wypłynął Nilu z Jeziora Wiktorii; James Augustus *Grant* (1827-1892) – szkocki podróżnik, oficer brytyjski; w latach 1860-1863 zbadał góry Nil, w roku 1861 odkrył (z J. Speke'em) rzekę Kagerę, w roku 1862 miejsce wypływu Nilu z Jeziora Wiktorii; Paul Belloni *du Chaillu* (1831 lub 1835-1903) – amerykański podróżnik i antropolog; w 1860 roku potwierdził istnienie goryli i Pigmejów w środkowej Afryce; później prowadził badania nad przedziejami Skandynawii.

Brazzy, Gallieniego, Dybowskiego, Lejeana, Massariego¹. Następnie można wymienić relacje innych znakomitych badaczy: Wissemanna, Buonfantiego i Maistre'a¹...

¹ David *Livingstone* (1813-1873) – szkocki podróżnik, lekarz, misjonarz; w latach 1849-1856 przebył Afrykę z zachodu na wschód, odkrył jezioro Ngami, bagna Makarikari (obecnie Makgadikgadi), Wodospad Wiktorii (1855), po roku 1858 jezioro Niasa; w latach 1866-1873 dotarł do jeziora Tanganika, odkrył rzeki Luapula i Lualaba, jeziora Mueru i Bangueulu; Henry Morton *Stanley* (do roku 1859 John Rowlands: 1841-1904) – amerykański dziennikarz i podróżnik, jeden z redaktorów gazety „New York Herald”; wybitny badacz Afryki; odnalazł zaginionego D. Livingstone’a; odkrył Jezioro Edwarda, Tumba, Leopolda II i masyw górski Ruwenzori; Alexandre Alberto da Rocha de *Serpa Pinto* (1846-1900) – portugalski badacz i zarządca kolonialny; prowadził trudne wyprawy w Afryce Środkowej i Południowej, przyczynił się do poznania kartografii wnętrza kontynentu; w 1869 badał rzekę Zambezi, osiem lat później prowadził ekspedycję, która dotarła do Basenu Konga oraz Zambezi; Karl Johan *Andersson* (1827-1867) – u J. Verne’a: Anderson; szwedzki badacz Afryki, zapalony myśliwy; jako jeden z pierwszych przewędrował południową Afrykę od Kapsztadu we wszystkich kierunkach; pozostawił zajmujące dzieła o swych odkryciach; Verney Lovett *Cameron* (1844-1894) – brytyjski podróżnik, badacz Afryki Środkowej, pisarz, pierwszy Europejczyk, który przemierzył Afrykę wzdłuż równika; w 1874 roku nad jeziorem Tanganika znalazł dokumenty należące do Livingstone’a; Eugène Abdon *Mage* (1837-1869) – francuski oficer marynarki i podróżnik; po 1860 roku odbywał podróże do północnego Senegalu, obecnej Mauretanii i w kierunku Gambii, posuwając się z biegiem różnych rzek; w 1863 przebywał w północnej Nigerii; w lutym 1864 dotarł do Segou (obecnie Mali), gdzie był przez trzy miesiące oblegany; oswobodził go generał Faidherbe; swoje podróże opisał w *Od Senegalu do Nigru i Podróż po Zachodnim Sudanie (Senegambia-Niger)*; Pietro Paolo Savorgnan di Brazza, znany jako Pierre Paul François Camille Savorgnan de *Brazza* (1852-1905) – francuski badacz urodzony we Włoszech, badacz i odkrywca Afryki Centralnej (badał prawy brzeg rzeki Konga); na jego cześć stolica Konga nosi nazwę Brazzaville; Joseph Simone *Gallieni* (1848-1916) – francuski generał; w latach 1877-1881 brał udział w wojskowo-geograficznej wyprawie w dorzeczu rzeki Niger; od 1886 roku naczelnym dowódcą wojsk francuskich w Sudanie; od 1915 roku minister wojny w rządzie francuskim; Jean Thadée Emmanuel Dybowski (Jan *Dybowski*, 1856-1928) – agronom, botanik i podróżnik polskiego pochodzenia w służbie Francji, stryjeczny brat Benedykta Dybowskiego; w 1889 roku odbył podróż do Algieru; w 1891 został wysłany na obszar między dorzeczem Konga i jeziorem Czad, gdzie m.in. ustalił bieg rzeki Szari i jej dopływów oraz dostarczył informacji na temat tragicznie zakończonej wyprawy Francuza Paula Crampela; ponownie przebywał w okolicach Konga w latach 1893-1894, prowadząc prace przyrodnicze; w 1895 roku kierował wyprawą do Tunisu; Guillaume *Lejean* (1828-1871) – francuski podróżnik; odbył wyprawy m.in. w rejon Nilu aż do Gondokoro; Alfonso Maria *Massari* (1854-1950) – włoski podróżnik, badacz Afryki, oficer Marynarki Wojennej; brał udział w poszukiwaniach Pellegrino Matteucciego; w latach 1880-1881 odbył podróż z Aleksandrii w Egipcie do Zatoki Gwinejskiej; następnie dowodził łodzią, prowadząc badania na Likouala, dopływie Konga.

Uderzenie przedniej osi wozu o duży kamień przerwało raptownie listę zdobywców Afryki, których wymieniał Max Huber. John Cort wykorzystał tę chwilę, żeby go zapytać:

- Zatem liczyłeś, że natrafimy w naszej podróży na coś innego...?
- Owszem, mój drogi Johnie.
- Na coś nieprzewidywalnego...?
- Na coś więcej niż nieprzewidywalnego, którego – chętnie to przyznam – wcale nam nie brakowało...
- Na coś nadzwyczajnego...?
- Właśnie tak, przyjacielu, gdyż ani razu, powtarzam, ani razu nie miałem okazji powtórzyć jak echo owych słów dotyczących dawnej Libii², owego przerażającego jej określenia *Portentosa Africa*³, które zawdzięczamy klasycznym bajaranom starożytności...
- No, no, widzę, Maksie, że francuską duszę trudniej jest zadowolić aniżeli...
- Aniżeli duszę amerykańską... przyznaję, Johnie. Jeśli wystarczają ci wspomnienia, jakie pozostaną po naszej wyprawie...
- W zupełności, Maksie.
- I jeśli wracasz zadowolony...
- Zadowolony... przede wszystkim dlatego, że wracam!
- I myślisz, że ci, którzy przeczytają sprawozdanie z tej wyprawy, zawołają: „Do diabła, jakże to jest ciekawe!”?
- Byliby bardzo wymagający, gdyby tak nie zawołali!
- A moim zdaniem nie byliby dostatecznie wymagający...

¹ Hermann von *Wissmann* (1853-1905) – u J. Verne’a: Wissemann; niemiecki badacz Afryki, 1888-1891 komisarz, a w latach 1895-1896 gubernator Niemieckiej Afryki Wschodniej (obecnie Tanzania); w roku 1880 wraz z Paulem Pogge’em przemierzył dżunglę nad rzeką Kongo; podróżnicy rozdzielili się we wschodniej części jej dorzecza; Wissmann skierował się dalej na wschód, w kierunku Oceanu Indyjskiego, badając po drodze tereny wschodniej Afryki; Maurizio *Buonfanti* (?-?) – włoski [?] badacz, w latach 1881-1883 odbył podróż przez Saharę i Zachodni Sudan, od Trypolisu przez Kuka, Kano i Timbuktu do Lagos; Casimir Leon *Maistre* (1867-1957) – francuski żołnierz, badacz Afryki, wziął udział w eksploracji Madagaskaru i w ekspedycji mającej zbadać możliwości żeglugi w rejonie rzeki Kongo (1891-1893).

² *Libia* – w starożytności grecka i rzymska nazwa Afryki (oprócz Egiptu), zwłaszcza Północnej.

³ *Portentosa Africa* (łac.) – niesamowita, potworna Afryka.

– Byliby niewątpliwie – odparował John Cort – gdybyśmy zakończyli naszą wyprawę w żołądku lwa lub w brzuchu ludożercy z Ubangi¹...

– Nie, Johnie, nie. Bez posuwania się aż do tego typu zakończenia, które zresztą nie jest pozbawione swego rodzaju atrakcyjności dla czytelników, a nawet dla czytelniczek, czy byłbyś wszakże skłonny przysiąc z całej twej duszy i sumienia, przed Bogiem, a także przed ludźmi, że odkryliśmy i dostrzegliśmy coś więcej, niż w Afryce Środkowej dostrzegli i odkryli nasi poprzednicy...?

– Rzeczywiście nie byłbym, Maksie.

– Ja jednak żywiłem nadzieję, że będę miał więcej szczęścia...

– Jesteś łakomczuchem, który ze swojego łakomstwa pragnie uczynić zaletę! – odparł John Cort. – Jeśli o mnie chodzi, czuję się nasycony. Nie spodziewałem się po naszej wyprawie więcej niż to, co nam przyniosła...

– Czyli nic, Johnie.

– A ponadto, Maksie, podróż się jeszcze nie skończyła, i przez pięć lub sześć tygodni, które zajmie nam powrót do Libreville...

– Nie mów tak! – zawołał Max Huber. – Zwyczajny spacer dla karawany... posuwanie się od postoju do postoju... jazda dyliżansem, jak w dawnych dobrych czasach...

– Któż to może wiedzieć...? – odrzekł John Cort.

Tym razem wóz stanął na wieczorny postój u stóp pagórka zwieńczonego pięcioma lub sześcioma pięknymi drzewami, jedynymi widniejącymi na rozległej równinie, oświetlonej wówczas palącym ogniem zachodzącego słońca.

Była siódma wieczorem. Wskutek krótkości zmierzchu na dziewiątym stopniu szerokości północnej noc zapadała szybko. Zapowiadały się głębokie ciemności, gdyż gęste chmury przesłaniały blask rzucany przez gwiazdy, a półksiężyc zniknął właśnie za horyzontem na zachodzie.

¹ *Ubangi* (Ubangi-Szari) – od końca XIX w. posiadłość francuska w Afryce, w roku 1906 połączona z kolonią Czad; po utworzeniu Francuskiej Afryki Równikowej (1910) stała się ponownie odrębną kolonią; po rozwiązaniu Francuskiej Afryki Równikowej (1958) otrzymała autonomię; w roku 1960 ogłosiła niepodległość jako Republika Środkowoafrykańska.

W pojeździe, przeznaczonym tylko do przewozu podróżnych, nie było ani towarów, ani zapasów żywności. Można sobie wyobrazić rodzaj krytego wozu na czterech mocnych kołach, ciągniętego przez zaprzęg sześciu wołów. W jego przedniej części znajdowały się drzwi. Oświetlony bocznymi okienkami wóz składał się z dwóch izb jedna za drugą, rozdzielonych ścianką. Przedział w głębi przeznaczony był dla dwóch młodych ludzi w wieku dwudziestu pięciu, może dwudziestu sześciu lat, Amerykanina Johna Corta i Francuza Maksa Hubera. Przedni zajmował portugalski kupiec o nazwisku Urdax i foreloper¹ imieniem Khamis. Ów foreloper, czyli człowiek wytyczający drogę karawany, był tubylcem z Kamerunu², bardzo biegłym w swoim zawodzie przewodnika po zalewanej żarem krainie Ubangi.

Należy wiedzieć, że solidności budowy pojazdu nic nie można byłoby zarzucić. Po trudach tej długiej i ciężkiej wyprawy jego kadłub był w dobrym stanie, piasty dzwonów kół mało się zużyły, osie ani nie popękały, ani się nie wygięły, można by wręcz pomyśleć, że wóz wracał z miłej przejażdżki o długości piętnastu czy dwudziestu lig³, choć w istocie pokonał ponad dwa tysiące kilometrów.

Trzy miesiące wcześniej pojazd ten opuścił Libreville, stolicę Konga Francuskiego⁴. Stamtąd, jadąc na wschód, przemierzał równiny Ubangi, aż dotarł poza nurt Bahar-el-Abiad⁵, jednej z rzek wpływają-

¹ *Foreloper* (z holenderskiego *foerlouper*) – używana przez Burów nazwa przewodników, wóźniców idących przy pierwszej parze zaprzęgu wołów, prowadzących je.

² *Kamerun* – państwo w zachodniej Afryce, nad Zatoką Gwinejską, do połowy XIX wieku omijane przez kolonizację europejską ze względu na duże zagrożenie malarią, od roku 1884 kolonia niemiecka, po I wojnie światowej terytorium mandatowe Ligi Narodów, zarządzane przez Wielką Brytanię i Francję, część francuska zyskała niepodległość w roku 1960 jako republika Kamerun, do której dołączyły południowe tereny części angielskiej.

³ *Liga* (z fr. *lieue*) – dawna francuska miara odległości, po wprowadzeniu miar metrycznych uznana za odpowiednik 4 km.

⁴ Stolicą Konga Francuskiego było Brazzaville, a nie Libreville.

⁵ *Bahr el-Abiad* – u J. Verne'a: Bahar-el-Abiad, to nazwa Nilu Białego, tu natomiast chodzi o rzekę Szari, długości 1400 km, o źródłach na obszarze Republiki Środkowoafrykańskiej; na mapce zamieszczonej we francuskim wydaniu powieści są zaznaczone dwie rzeki o tej samej nazwie [!]: Nil Biały oraz górny bieg rzeki Szari („bahr” to po arabsku „rzeka”, „abiad” to „biały”).

jących do jeziora Czad¹, wlewającego swe wody w południowej jego części.

To jednemu z głównych prawych dopływów rzeki Kongo, czyli Zair², kraina ta zawdzięcza swą nazwę Ubangi. Ciągnie się ona na wschód od Kamerunu niemieckiego, którego gubernatorem jest konsul generalny Niemiec w Afryce zachodniej, i na mapach, nawet najnowszych, nie została jeszcze oznaczona dokładnie liniami. Chociaż nie jest pustynią – pustynią o bujnej roślinności, w niczym nie przypominającą Sahary – to w każdym razie zajmuje ogromną powierzchnię, na której wioski rozsiane są w wielkich odległościach od siebie. Ludy wojują tam nieustannie, ujarzmiając się nawzajem lub zabijając, i żywią się nadal mięsem człowieka, jak Mouboutou³, mieszkający między dorzeczami Nilu i Konga. Wielce wstrętne jest to, że do zaspokajania ich ludożerczych instynktów zazwyczaj służą dzieci. Dlatego właśnie misjonarze poświęcają się ratowaniu tych małych istot, albo zabierając je siłą, albo wykupując, a potem wychowywaniu ich po chrześcijańsku w misjach zakładanych wzdłuż rzeki Siramba⁴. Nie powinno się zapominać, że misje te szybko by upadły wskutek braku zasobów pieniężnych, gdyby skończyła się szczodrość państw europejskich, a zwłaszcza Francji.

Należy jeszcze dodać, że w Ubangi tubylcy uważają swe dzieci za monetę obiegową używaną w wymianie handlowej. Chłopczykami i dziewczynkami płaci się za towary konsumpcyjne, dostarczane przez handlarzy aż do środka tego kraju. Najbogatszym z jego mieszkańców jest zatem ten, który ma najliczniejszą rodzinę.

¹ Czad – jezioro bezodpływowe w północnej Afryce, u zbiegu granic Czadu, Nigru, Nigerii i Kamerunu, 5000 lat temu o wiele większe (do 1 miliona km² powierzchni), wskutek małej głębokości zanikało w wyniku parowania wód, w XIX wieku miało ok. 20 tys. km², potem zmalało do ok. 1350 km².

² Chodzi o Ubangi, rzekę w środkowej Afryce, największy prawy dopływ Konga, długość ok. 1060 km, źródła na granicy Republiki Środkowoafrykańskiej i Sudanu; stanowi granicę między Republiką Środkowoafrykańską i Demokratyczną Republiką Konga; *Zair* – nazwa rzeki Kongo, nadana przez Portugalczyków w XVI wieku, w XVIII wyparta przez nazwę Kongo.

³ *Monbuttu* (właśc. Mangbetu) – u J. Verne'a: Mouboutou; lud żyjący na północnym wschodzie Demokratycznej Republiki Konga, szczególnie w Prowincji Wschodniej, i w mniejszym stopniu w Ugandzie, mówiący językiem z rodziny nilo-saharyjskiej.

⁴ *Siramba* – nie ma takiej rzeki w Afryce Środkowej.

Choć jednak Portugalczyk Urdax nie wyprawił się na tamte równiny w zamiarze prowadzenia handlu, choć nie zamyślał zajmować się wymianą z plemionami znad rzeki Ubangi, a jedynym jego celem było zdobycie pewnej ilości kości słoniowej pozyskanej w wyniku polowań na liczne w owym kraju słonie, to nie zdołał uniknąć spotkań z krwiożerczymi kongijskimi ludami. Wiele razy musiał nawet odpędzać od siebie wrogie bandy i zmieniać w obronną broń, którą zamierzał wymierzać w stada gruboskórców¹. Na szczęście całą jego wyprawę można było uznać za udaną i zyskową, ponieważ spośród ludzi z karawany nie pochłonęła ani jednej ofiary.

Dlatego też w pobliżu pewnej wioski, niedaleko źródeł Bahar-al-Abiad, John Cort i Max Huber zdołali uchronić jedno dziecko przed oczekującym je strasznym losem, wykupiwszy za cenę kilku paciorków. Był to chłopiec mający około dziesięciu lat, silnej budowy, przyciągających uwagę i miłych rysach twarzy, o słabo zaznaczonych cechach murzyńskich. Jak to się widuje u niektórych plemion, skórę miał niemal jasną, włosy blond, a nie kędzierzawą wełnę czarnych, nos orli, a nie spłaszczony, usta drobne, a nie wydęte. Jego oczy błyszczały inteligencją, szybko też poczuł dla swych zbawców rodzaj synowskiej miłości. Ta biedna istota została zabrana ze swojego plemienia, choć nie z rodziny, bowiem nie miała już ani ojca, ani matki. Chłopiec nazywał się Llanga. Po pewnym czasie spędzonym u misjonarzy, którzy nauczyli go podstaw języka francuskiego i angielskiego, przez nieszczęśliwy zbieg okoliczności wpadł ponownie w ręce Denków², a jaki czekał go tam los, łatwo było przewidzieć. Ujęci przymilnie wyrażanym przywiązaniem dla tego dziecka, wdzięcznością, jaką im okazywało, dwaj przyjaciele poczuli do niego wielką sympatię; żywili je, ubierali, uczyli z wielką korzyścią, gdyż okazywało rozum ponad swój

¹ *Gruboskórce* (*Ceratomorpha*) – podrząd roślinożernych ssaków z rzędu nieparzystokopytnych, obejmujący dwie rodziny: tapiry oraz nosorożce; gruboskórce zamieszkują strefy podzwrotnikowe Afryki, Ameryki i Azji; w XIX w. nazwą gruboskórce (*Pachydermata*) określano sztuczną grupę obejmującą duże ssaki kopytne o nagiej, grubej skórze – a więc oprócz nosorożców także słonie i hipopotamy..

² *Denkowie* (częściej Dinkowie) – duże plemię mówiące językiem z grupy nilotyckiej, zamieszkujące nad dolnym Nilem w Sudanie i państwach sąsiednich, o rolniczym (kobiety) i pasterskim (mężczyźni) trybie życia, jeden z ludów o największym średnio wzroście świata.

wiek. Jakaż nastąpiła wówczas zmiana losu Llangi! Zamiast zostać żywym towarem, jak inni nieszczęśliwi mali tubylcy, zamieszka w faktoriach Libreville jako przybrany syn Maksa Hubera i Johna Corta... Zobowiązali się do opieki się nim i nigdy już go nie zostawią...! Pomimo młodego wieku rozumiał to i czuł się kochanym, a łza szczęścia spływała mu z oczu za każdym razem, gdy ręka Maksa Hubera bądź Johna Corta spoczęła na jego głowie.

Kiedy wóz stanął, zmęczone długą drogą w pożerającym upale woły położyły się na trawie. Llanga, który część drogi pokonał pieszo, idąc a to przed zaprzęgiem, a to za nim, podbiegł natychmiast w chwili, gdy jego dwaj opiekunowie schodzili z podestu pojazdu.

– Nie zmęczyłeś się zbytnio, Llango...? – zapytał John Cort, biorąc chłopca za rękę.

– Nie... nie...! Dobre nogi... lubi bardzo biegać – odparł Llanga, ustami i oczami uśmiechający się do Johna Corta i Maksa Hubera.

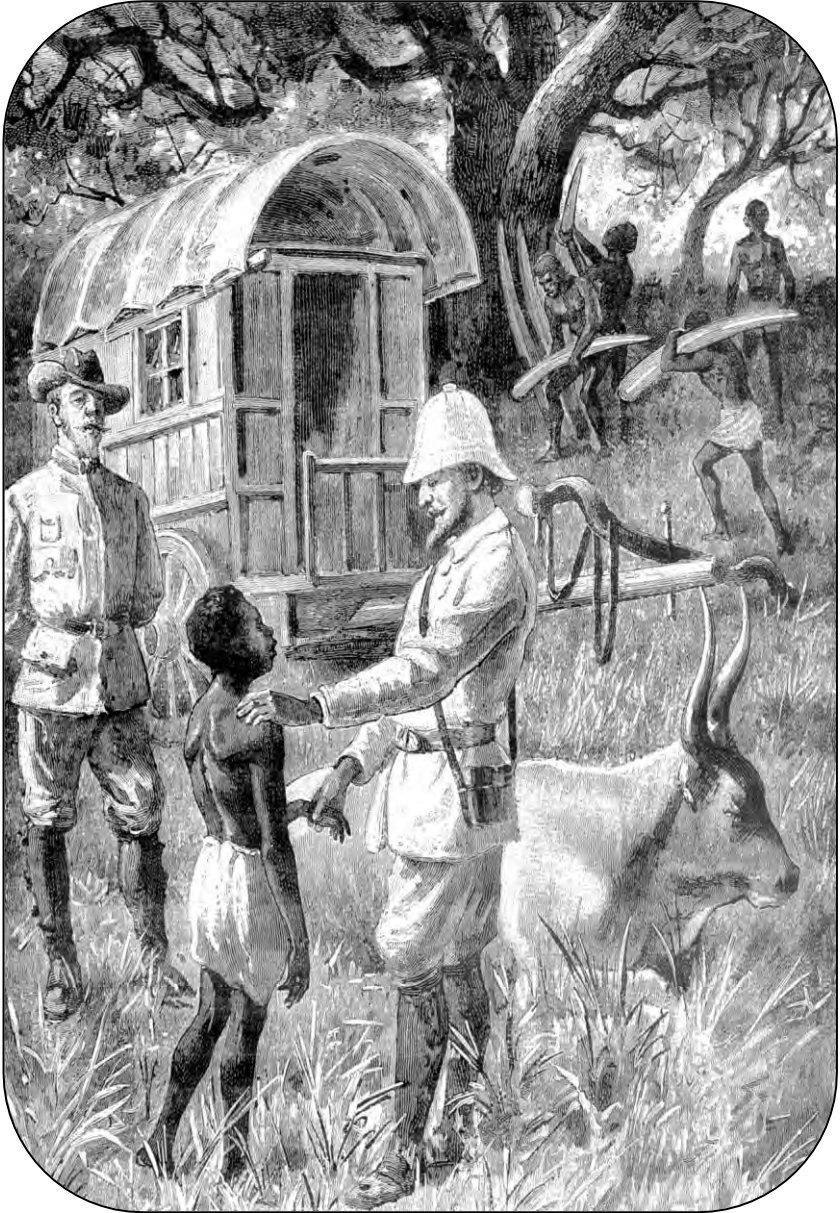
– Pora teraz coś zjeść – powiedział ten drugi.

– Zjeść... tak... wujaszku Maksie!

Potem, ucałowawszy wyciągnięte ku niemu dłonie, chłopiec dołączył do tragarzy zgromadzonych pod gałęziami rosnących na pagórku wielkich drzew.

Wóz mógł służyć tylko do wożenia Portugalczyka Urdaksa, Khamis i ich dwóch towarzyszy, ponieważ pakunki i kość słoniową powierzono obsłudze karawany – pięćdziesięciu ludziom, w większości Murzynom z Kamerunu. Złożyli oni na ziemi oręż obronny słoni i skrzynie z codzienną porcją żywności, uzupełniającą to, czego dostarczały polowania w pełnym zwierzynie kraju Ubangi.

Murzyni ci byli wynajętymi tragarzami, biegłymi w tym rzemiośle i dobrze opłacanymi, na co pozwalały zyski czerpane z takich owocnych wypraw. Można nawet rzec, że byli z tych, co nigdy nie „wysiadują złożonych przez siebie jaj”, aby użyć powiedzenia oznaczającego u tubylców ludy prowadzące osiadły tryb życia. Od dzieciństwa nawykli do dźwigania pakunków, noszą je, dopóki nogi nie zaczną ich zawodzić. Pomimo to wykonują ciężką pracę, gdyż jest ona taka w owym klimacie. Z ramionami przytłoczonymi ciężką kością słoniową lub dużo ważącymi skrzyniami z żywnością, ze skórą często otartą, krwawiącymi stopami, torsem poranionym ostrymi źdźbłami traw, gdyż są



– Nie zmęczyleś się zbyttnio, Llango...? – zapytał John Cort,
biorąc chłopca za rękę.

niemal nadzy, idą tak od świtu do jedenastej rano, a potem, kiedy minie największy skwar, maszerują znowu do wieczora. Handlarze mający na uwadze własną korzyść muszą im dobrze płacić, i tak właśnie płacą; karmić ich dobrze, i tak właśnie karmią; nie przemęczać ich nadmiernie, i tragarze się nie przemęczają. Niebezpieczeństwa związane z polowaniami na słonie są aż nadto prawdziwe, nie mówiąc już o możliwych spotkaniach z lwami i panterami, i dowodzący wyprawą musi być pewny swoich ludzi. Ponadto po zakończeniu zbioru cennego surowca karawana musi szczęśliwie i szybko wrócić do faktorii na wybrzeżu. Korzystne jest więc unikanie opóźnień wywołanych nadmiernym zmęczeniem albo chorobami – między innymi ospą¹, której ataki wywołują największy strach. Dlatego też świadomy tych względów, wspierany gromadzonym od dawna doświadczeniem, Portugalczyk Urdax, niezmiernie mocno dbający o swych ludzi, z dużym powodzeniem odbywał zyskowne wyprawy w głąb Afryki równikowej.

Taka była też obecna wyprawa, gdyż przyniosła znaczny uzysk kości słoniowej dobrej jakości, pozyskanej z krain leżących poza Bahar-el-Abiad, niemal do granicy Darfuru².

Obóz rozbito w cieniu wspaniałych tamaryndowców³, a kiedy John Cort po tym, jak tragarze zaczęli rozpakowywać zapasy żywności, zagadnął Portugalczyka, oto jaką odpowiedź uzyskał po angielsku, którym to językiem Urdax mówił biegle:

¹ *Ospa* – chodzi o ospę prawdziwą (czarną), chorobę zakaźną wywołowaną wirusem (*variola minor* lub *variola maior*), kiedyś częstą, obecnie uważaną za chorobę zlikwidowaną, nie ma nowych zachorowań; śmiertelność wynosiła ok. 30%.

² *Darfur* – region w zachodniej części Sudanu, zajmujący głównie wyżynę Darfur z jej sawanną, zamieszkiwany przez liczne grupy etniczne i wyznaniowe; do roku 1917 samodzielny sułtanat Darfuru, w 1916 włączony przez Wielką Brytanię do angielskiego Sudanu, obecnie w składzie Sudanu i Sudanu Południowego.

³ *Tamaryndowiec* (*tamaryndowiec indyjski*, *Tamarindus indica*) – drzewo z rodziny brezylikowatych (*Caesalpiniaceae*) o wysokości do 25 m; pochodzi prawdopodobnie z Afryki, uprawiane jako drzewo owocowe w rejonach tropikalnych i subtropikalnych, często dziczące; liście pierzaste, kwiaty miododajne, zebrane w grona, strąki o długości 10-15 cm sierpowato wygięte, grube, miąższ słodko-kwaśny, spożywany na surowo lub przetworzony; z nasion otrzymuje się gumę stosowaną w przemyśle tekstylnym; uprawiany także dla cennego drewna oraz jako drzewo ozdobne.

– Myślę, panie Cort, że miejsce postoju jest odpowiednie, a stół zastawiony obficie dla naszych zaprzęgów.

– Istotnie, mają tutaj gęstą i grubą trawę... – powiedział John Cort.

– Chętnie byśmy ją poskubali – dodał Max Huber – gdybyśmy tylko mieli budowę przeżuwaczy i trzy żołądki¹ do trawienia!

– Dziękuję – odparł John Cort – ale wolę ćwiartkę antylopy upieczonej na węglach, suchary, których mamy duże zapasy, i antałki² madero³ z Kolonii Przylądkowej⁴...

– Którą można zmieszać z kilkoma kroplami wody z tego przejrzystego strumyka płynącego przez równinę – zauważył Portugalczyk i wskazał rzeczkę – na pewno dopływ Ubangi – toczącą swe wody kilometr od pagórka.

Obóz rozbito bez zwłoki. Kość słoniową złożono na stos w pobliżu wozu. Zwierzęta pociągowe chodziły wokół tamaryndowców. Tu i ówdzie rozpalono ogniska ze spadłych z drzew uschniętych gałęzi. Foreloper zadbał, aby różnym grupom niczego nie brakowało, więc nie brakowało też świeżego i suszonego mięsa elanda⁵ i antylopy. Myśliwi mogli łatwo uzupełniać jego ubytek. Powietrze wypełnił zapach pieczeni i każdy odczuwał zdrowy apetyt, łatwo zrozumiały po półdniowym marszu.

Nie trzeba dodawać, że broń i amunicję zostawiono w wozie – kilka skrzynek naboji, strzelby myśliwskie, karabiny, rewolwery, wspaniałe okazy nowoczesnego oręża, na wypadek alarmu pozostające w dyspozycji Portugalczyka, Khamisa, Johna Corta i Maksa Hubera.

¹ Przeżuwacze, do których należy bydło, mają jeden żołądek, choć podzielony na cztery, a nie trzy komory, żwacz, czepiec, księgi i trawieniec.

² J. Verne użył tu wyrazu *quartaut*, miary pojemności płynów, stosowanej we Francji przed XIX wiekiem i wynoszącej dwie stopy francuskie sześciennie, czyli 68,55 litra.

³ *Madera* – wzmacniane wino portugalskie (17-22% alkoholu etylowego), słodkie lub wytrawne, produkowane na atlantyckiej wyspie Madera.

⁴ *Kolonia Przylądkowa* – brytyjska kolonia (wcześniej holenderska o nazwie Cape, Przylądek – i takiej nazwy używa J. Verne) w południowej Afryce, istniejąca z przerwą w latach 1806-1910; potem zmieniono jej nazwę na Kraj Przylądkowy, gdy utworzono brytyjskie dominium Związek Południowej Afryki.

⁵ *Eland* (kanna, *Taurotragus oryx*) – ssak przeżuwający z rodziny wołowatych, występuje w Afryce na południe od Sahary; wysokość w kłębie do 180 cm, krótka sierść barwy od szarej do ciemnobrązowej, J. Verne zamiast *éland* użył słowa *élan*, po francusku oznaczającego łosia, który nie występuje w Afryce.

Posiłek powinien po godzinie dobiec końca. Mając wypełnione żołądki, wspomagana zmęczeniem, karawana szybko zapadnie w głęboki sen.

Foreloper wyznaczył jednak część swoich ludzi, którzy mieli stać na warcie i zmieniać się co dwie godziny. W owych odległych krainach trzeba się zawsze mieć na baczności przed istotami mającymi złe zamiary, zarówno dwu-, jak i czterożnymi. Dlatego Urdax nie zanieczywał podejmowania wszelkich środków ostrożności. Był on pięćdziesięcioletnim, silnym jeszcze człowiekiem, bardzo biegłym w kierowaniu wyprawami tego rodzaju, a także niezwykle wytrzymałym. Także Khamis, mający trzydzieści pięć lat, zwinny, zręczny, a przy tym silny, o bardzo zimnej krwi i wielkiej odwadze, zapewniał wszelkie szanse powodzenia karawanom przemierzającym Afrykę.

U stóp jednego z tamaryndowców dwaj przyjaciele i Portugalczyk usiedli do przyniesionej przez chłopca kolacji, przyrządzonej przez tego z tubylców, któremu powierzono obowiązki kucharza.

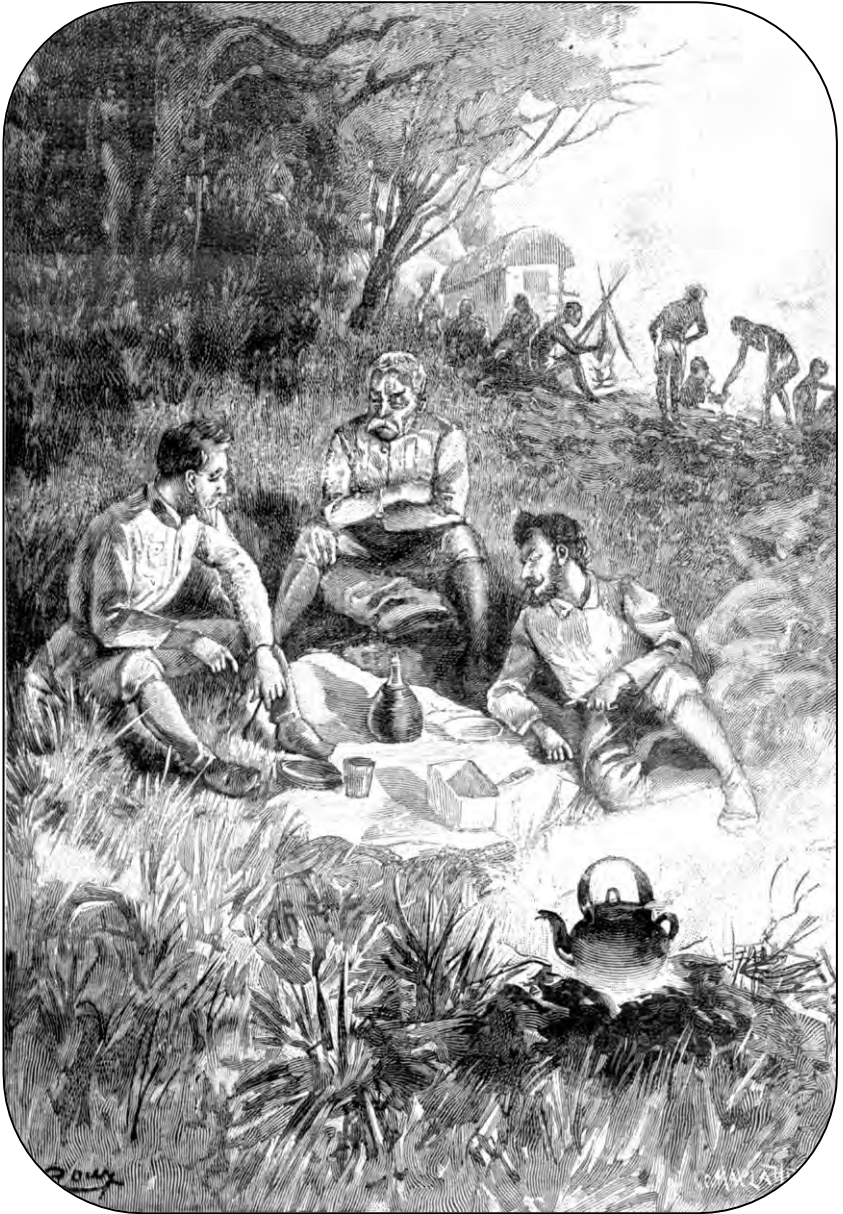
Podczas tego posiłku języki próżnowały równie mało jak zęby. Jedzenie nie przeszkadza w rozmawianiu, kiedy spożywa się je bez zbytniego pośpiechu. O czym rozprawiano...? Czy o wydarzeniach, które zaszły na szlaku wyprawy na północny wschód...? Skądże. Znacznie większą ciekawość budziły sprawy dotyczące powrotu. Od faktorii w Libreville dzieliła ich jeszcze długa droga – licząca ponad dwa tysiące kilometrów – której pokonanie wymagało dziewięciu lub dziesięciu tygodni marszu.

– Kto wie, co się zdarzy w tej drugiej połowie podróży... – zwrócił się John Cort do towarzysza, który potrzebował czegoś więcej niż tylko nieprzewidzianego – chodziło mu o „nadmierzające”!

Aż do tego ostatniego etapu, od obrzeży Darfuru, karawana zmierziała do Ubangi, pokonawszy brody na Aoukadebe¹ i licznych dopływach tej rzeki. Tego dnia zatrzymała się blisko miejsca, w którym krzyżowały się dwudziesty drugi południk i dziewiąty równoleżnik².

¹ *Aoukadebe* – chodzi zapewne o Bahr Aouk, prawy dopływ Szari, graniczną pomiędzy Czadem a Republiką Środkowoafrykańską, płynącą ze wschodu na zachód, jej górny bieg nosi nazwę Aoukale; z tego zapisu oraz z mapki w wydaniu francuskim wynika, że podróżnicy zapuścili się daleko na wschód, aż pod Nil Biały.

² Miejsce to znajduje się w północnej części Republiki Środkowoafrykańskiej, na południe od Bahr Aouk i na północ od pasma gór Bongos.



Podczas tego posiłku języki próżnowały równie mało jak zęby.

– Teraz jednak – powiedział Urdax – skręcimy na południowy zachód...

– Co jest tym bardziej wskazane – dodał John Cort – że o ile mnie oczy nie mylą, horyzont południowy przegradza puszcza, której końca nie widać ani na wschodzie, ani na zachodzie.

– Tak... jest ogromna! – przyznał Portugalczyk. – Gdybyśmy musieli okrążyć ją od wschodu, minęłyby całe miesiące, zanim zostawilibyśmy ją za sobą...!

– Od zachodu zaś...

– Od zachodu zaś – odrzekł Urdax – bez zbytecznego nakładania drogi, posuwając się wzdłuż skraju puszczy, napotkamy Ubangi w okolicach bystrzy¹ Zongo².

– Czy przejście przez las na przełaj nie skróciłoby naszej wyprawy...? – zapytał Max Huber.

– Skróciłoby... o jakieś piętnaście dni marszu.

– No to... dlaczego nie przetniemy tej puszczy najkrótszą drogą...?

– Ponieważ jest nie do przebycia.

– Och! Nie do przebycia...! – rzucił z powątpiewaniem Max Huber.

– Może nie dla pieszych – odparł Portugalczyk – a i tego nie jestem pewny, gdyż nikt nie próbował jej przejść. Natomiast próba zapuszczenia się tam z zaprzęgami na pewno zakończyłaby się niepowodzeniem.

– Powiedzieliście, panie Urdax, że nikt dotąd nie próbował zagłębić się w tę puszcze...?

– Może i próbował... tego nie wiem, panie Maksie, ale mam pewność, że nikomu się to dotąd nie udało... nie... tak w Kamerunie, jak i w Kongu, nikt nie ośmieliłby się w nią zapuścić. Komu to chciałoby się pójść tam, gdzie nie ma żadnych ścieżek, przedzierać się przez kolczaste zarośla i ciernie...? Nie wiem nawet, czy ogień i siekiera

¹ *Bystrze* (bystrzyca) – miejsce w rzece, w którym następuje lokalne przyspieszenie prądu wody; może być ono spowodowane zwężeniem koryta rzeki, podwodnymi przeszkodami, zmianą nurtu, przejściem przez wypłylenie lub zakręt itp.

² *Zongo* – bystrza na rzece Ubangi ok. 60 km na północny wschód od Bangui, stolicy Republiki Środkowoafrykańskiej, ostatnie miejsca, do którego Ubangi jest żeglowna od swego ujścia.

zdołałyby utorować tam drogę, nie mówiąc o martwych drzewach, które muszą tworzyć przeszkody niemożliwe do pokonania...

– Niemożliwe do pokonania, panie Urdax...?

– Słyszysz, drogi druhu – powiedział teraz John Cort – i chyba nie zamierzasz się przedzierać przez tę puszcę? Cieszymy się, że musimy ją tylko okrążyć...! Przyznam, że nie pragnę wcale zapuszczać się w ów labirynt drzew...

– I nie chciałbyś się dowiedzieć, co zawiera...?

– A co byś pragnął tam znaleźć, Maksie...? Może nieznanne królestwa, zaczarowane miasta, mityczne eldorada¹, nowe gatunki zwierząt, drapieźniki na pięciu łapach i istoty ludzkie na trzech...?

– A czemu nie, Johnie...? Przekonalibyśmy się, gdybyśmy tam poszli...!

Szeroko rozwartymi, czujnie patrzącymi oczami, wyrażającą skupienie miną Llanga zdawał się mówić, że jeśli Max Huber ośmieli się zagłębić w tę puszcę, wówczas bez strachu podaży za nim.

– W każdym razie – stwierdził John Cort – skoro Urdax nie zamierza przeciąć dżungli, aby osiągnąć brzegi Ubangi...

– Na pewno nie – potwierdził Portugalczyk. – Groziłoby nam wtedy, że moglibyśmy stamtąd nie wyjść!

– No widzisz, drogi Maksie, chodźmy spać i możesz sobie próbować odkrywać tajemnice tej puszczy, zapuszczać się w ten nieprzebyty las... ale tylko we śnie, choć nawet we śnie nie jest to zbyt rozważne...

– Śmieję się, Johnie, śmieję się ze mnie ile wlezie! Przypomniałem sobie jednak, co powiedział jeden z naszych poetów... nie wiem już który:

*Byle znaleźć w Nieznanym coś, co będzie nowe!*²

– Naprawdę, Maksie...? A jaki werset³ rymuje się z tym?

¹ *Eldorado* (El Dorado) – legendarna kraina pełna złota i drogich kamieni, najczęściej umiejscawiana gdzieś w dorzeczu Orinoko lub górnego biegu Amazonki; przenośnie raj, kraina dobrobytu.

² Cytat pochodzi z poematu Charles'a Baudelaire'a *Podróż* (przekład Marii Leśniewskiej).

³ Przytoczony werset kończy ósmą zwrotkę i cały wiersz, rymuje się z trzecim od końca, brzmiającym: *Pragniemy – tak ten ogień rozpala nam głowę.*

– Przysięgam ci... zapomniałem, Johnnie!

– Zapomnij więc i pierwszy, jak zapomniałeś drugi, i chodźmy lepiej spać.

Było to niewątpliwie najmądrzejsze, i nie trzeba się było chronić w wozie. Noc u podnóża pagórka, pod wielkimi tamaryndowcami czyniącymi powietrze trochę chłodniejszym w upale, bardzo nadal potężnym po zachodzie słońca, nie zniechęcała zupełnie bywalców „Hotelu pod Gołym Niebem”, kiedy tylko pozwalała na to pogoda. Tego wieczora, chociaż gwiazdozbiory skryły się za grubą powłoką chmur, deszcz nie groził, i o wiele lepszy był sen na świeżym powietrzu.

Młody tubylec przyniósł koce. Dwaj przyjaciele, mocno się nimi otuliwszy, położyli się między korzeniami tamaryndowca – tworzyły istną koję¹ w kabinie – a Llanga skulił się przy nich niczym stróżujący pies.

Urdax i Khamis, zanim poszli w ich ślady, zechcieli po raz ostatni obejść obóz, sprawdzić, czy spętane woły nie mogły się rozejść po równinie, czy tragarze stoją na warcie, czy ogniska zostały wygaszone, gdyż wystarczyłaby jedna iskra, aby podpalić zeschniętą trawę i chrust. Potem obaj wrócili pod zbocze pagórka.


Sen szybko ich ogarnął – sen, w którym nie słyszeliby nawet grzmotów. Być może wartownicy także zasnęli... W każdym razie po dziesiątej nie znalazł się nikt, kto zameldowałby o zauważeniu podejrzanych ogni przesuwających się na skraju wielkiej puszczy.



¹ *Koja* – łóżko na statku, umocowane na stałe, lub w przypadku koi piętrowych – składane (podwieszane).

Rozdział II

Ruchome ognie

 dległość najwyżej dwóch kilometrów dzieliła pagórek od mrocznych ostępów, u stóp których tu i tam przesuwwały się smoliste, migoczące płomienie. Można ich było naliczyć kilkanaście, a to połączonych, a to rozdzielonych, trzęsących się często gwałtownie, czego nie tłumaczyło nieruchome powietrze. Można się było domyślać obozującej w tym miejscu grupy tubylców, czekających na nastanie dnia. Płomienie te nie były jednak ogniami postoju. Zbyt kapryśnie wędrowały i przez setkę sążni¹, zamiast skupiać się w jednym ognisku na miejscu noclegu.

Nie należy zapominać, że te części Ubangi odwiedzały plemiona koczownicze, przybywające z Adamawy² czy Bagirmi³ na zachodzie, a nawet z Ugandy na wschodzie. Karawana kupców nie byłaby na tyle nieostrożna, żeby zdradzać swą obecność tymi licznymi ogniami poruszającymi się w ciemnościach. Jedynie tubylcy mogli się zatrzymać w tym miejscu. Kto wie czy nie żywili wrogich zamiarów wobec śpiącej pod konarami tamaryndowców karawany?

Jeżeli zaś tak było, jeżeli groziło jakieś niebezpieczeństwo ze strony wodza kilkuset wojowników Pahuinów, Foundów⁴, Szylu-

¹ *Sążeń* – dawna jednostka długości równa zasięgowi wyciągniętych ramion dorosłego mężczyzny, dzieląca się na trzy łokcie i sześć stóp, sążeń francuski (*brasse*) miał 1,624 metra.

² *Adamawa* – państwo (emirat) Fulanów istniejące od pierwszej połowy XIX wieku do 1901 roku na terenie obecnego środkowego Kamerunu; po śmierci jego twórcy, wodza Fulanów, w roku 1847 emirat rozpadł się na prowincje, a konflikty wewnętrzne ułatwiły podbój kolonialny; w roku 1901 Adamawa została podporządkowana władzom brytyjskim.

³ *Bagirmi* (Baguirmi) – afrykańskie państwo muzułmańskie ludu Bagirmi, utworzone w XVI wieku na południe od jeziora Czad, w widłach środkowej częścią rzek Szari i Logone, na terenie obecnego północno-zachodniego Czadu.

⁴ *Foundowie* – nie jest znane takie plemię, może chodzić o Fangów, noszących też nazwę Pahuinów, Fonów (Fongbe, Dahomejczyków) zamieszkujących Nigerię albo Foursów z Sudanu.

ków¹, Bari², Denków czy innych plemion czekających tylko na odpowiednią chwilę, aby dokonać napaści z szansami powodzenia wynikającymi z ich liczebnej przewagi, to nikt – przynajmniej aż do wpół do jedenastej – nie byłby w stanie się przed nimi bronić. Wszyscy w obozie spali, panowie i słudzy, a co dużo gorsze, mający się zmieniać na warcie tragarze również byli pogrążeni w głębokim śnie.

Na szczęście obudził się młody tubylec. Z pewnością po chwili zamknąłby ponownie oczy, gdyby nie spojrzął na horyzont na południu. Spod na wpół przymkniętych powiek dostrzegł światło jaśniejące w tej bardzo ciemnej nocy. Przeciągnął się, przetaił oczy, przyjrzał się uważniej... Nie! Nie pomylił się: na skraju puszczy poruszały się rozproszone ognie.

Llana pomyślał, że karawana zostanie zaraz napadnięta. Odniośł raczej instynktowne wrażenie, niż wyciągnął rozumny wniosek. Istotnie, szykujący się do masakry i grabieży złoczyńcy wiedzieliby, że zwiększają swe szanse powodzenia, wykorzystując zaskoczenie. Nie daliby się zauważyć przed atakiem, a ci dlaczego się zdradzają...?

Nie chcąc budzić Maksa Hubera i Johna Corta, chłopiec poczołgał się bezgłośnie do wozu. Kiedy dotarł do forelopera, położył mu rękę na ramieniu, obudził, i wskazał palcem ognie na horyzontcie.

Khamis wstał, przyglądał się przez minutę ruchomym płomieniom, i głosem, którego siły nie próbował łagodzić, krzyknął:

– Panie Urdax!

Portugalczyk, człowiek nawykły do szybkiego otrząsania się ze snu, w jednej chwili stanął na nogach.

– Co się stało, Khamisie...?

– Proszę spojrzeć! – odparł foreloper i wyciągniętą ręką wskazał przylegający do równiny oświetlony skraj lasu.

– Alarm! – zawołał Portugalczyk z całych sił swych płuc.

W kilka chwil wszyscy w karawanie byli na nogach, a ich głowy tak dobitne ogarnęła powaga zagrożenia, że nikt nawet nie myślał ga-

¹ *Szylukowie* – grupa etniczna z Sudanu Południowego na zachód od Nilu, jeden z ludów nilotyckich, o pasterskim i rolniczym trybie życia.

² *Bari* – grupa etniczna ze wschodniej części Sudanu Południowego, Ugandy i Konga, należąca do ludów nilotyckich.

nić wartowników przyłapanych na niedbałości. Było pewne, że gdyby nie Llanga, obóz zostałby napadnięty podczas snu Urdaksa i jego towarzyszy.

Nie ma potrzeby dodawać, że Max Huber i John Cort szybko opuścili miejsce spania między korzeniami, dołączając do Portugalczyka i forelopera.

Było kilka minut po wpół do jedenastej. Głęboka ciemność otulała równinę na trzech czwartych jej obwodu, od jej strony północnej, zachodniej i wschodniej. Jedyne południową oświetlały owe falujące płomienie, rzucające mocne blaski, kiedy się kołysały, a można było się ich doliczyć już co najmniej pięćdziesiąt.

– Musi tam być zbiegowisko tubylców – powiedział Urdax – zapewne z plemienia Boudjo¹, wędrującego między brzegami rzek Kongo i Ubangi.

– Nie ma wątpliwości – dodał Khamis – że te płomienie nie zapaliły się same...

– I że jakieś dłonie trzymają je i przenoszą! – zauważył John Cort.

– Lecz dłonie te – stwierdził Max Huber – muszą się łączyć z ramionami, ramiona zaś z ciałami, a ciał tych nie dostrzegamy pośród całej tej feerii światła...

– To dlatego, że ci ludzie znajdują się trochę dalej od skraju puszczy, za drzewami... – domyślił się Khamis.

– Ponadto zauważcie – mówił dalej Max Huber – że nie chodzi tu o jakąś gromadę wędrującą naokoło puszczy... Nie! Choć ognie oddalają się na prawo i lewo, to wracają zawsze w to samo miejsce...

– Gdzie musi być obóz tych tubylców – zapewnił foreloper.

– A jakie jest pańskie zdanie...? – zapytał John Cort Urdaksa.

– Takie, że zostaniemy napadnięci – oświadczył Portugalczyk – i że musimy natychmiast rozpocząć przygotowania do obrony...

– Dlaczego jednak ci tubylcy nie napadli na nas, zanim się pokazali...?

¹ *Boudjo* (Budjo, Budza) – lud zamieszkujący północną część Demokratycznej Republiki Kongo, na północ od rzeki Kongo, mówiący językiem z rodziny bantu, znany z wojowniczości.

– Czarni to nie biali – oświadczył Urdax. – Pomimo jednak swego nierozważnego postępowania są groźni przez swą liczebność i skłonność do krwiożerczości...

– To pantery, które naszym misjonarzom niełatwo przyjdzie przemienić w jagnięta...! – dodał Max Huber.

– Bądźmy w gotowości! – zakończył Portugalczyk.

Tak, w gotowości do obrony, i to do obrony aż do śmierci. Ze strony plemion z Ubangi nie można było oczekiwać najmniejszej litości. Nie sposób sobie wyobrazić, jak bardzo są okrutne, a najdziksze ludy Australii, Wysp Salomona¹, Nowych Hebrydów², Nowej Gwinei nie mogą nawet w części im dorównywać. W pobliżu środka tej krainy znajdują się jedynie wioski ludożerców, o czym wiedzą misjonarze, którym grozi tam najstraszliwsza ze śmierci. Owe istoty z Afryki równikowej, gdzie słabość jest zbrodnią, a siła wszystkim, owe bestie o ludzkich twarzach usiłowano zaliczać do zwierząt! I rzeczywiście, nawet w dojrzałym wieku umysł wielu Murzynów nie wykracza poza poziom umysłu dziecka pięcio- czy sześćoletniego.

Można również stwierdzić – dowodów nie brakuje, misjonarze bywają często świadkami takich okropnych scen – że w tym kraju składane są ofiary z ludzi. Zabija się niewolników na grobach ich panów, a głowy, zatknięte na giętkich gałęziach, są odrzucane daleko, gdy tylko odetnie je nóż fetyszysty³. Dzieci między dziesiątym a szesnastym rokiem życia służą za pożywienie na wystawnych uroczystościach, a niektórzy wodzowie jadają wyłącznie mięso owych młodych istot.

Z owymi instynktami ludożerczymi łączą się jeszcze skłonności grabieżcze. Powodowani nimi tubylcy wyprawiają się bardzo daleko na

¹ *Wyspy Salomona* – archipelag w południowo-zachodniej części Oceanu Spokojnego, na wschód od Nowej Gwinei, odkryty w roku 1568 przez Hiszpanów, w XIX wieku zasiedlany przez Anglików i Niemców, obecnie część należy do Papui-Nowej Gwinei, część tworzy niepodległe państwo Wyspy Salomona.

² *Nowe Hebrydy* – dawna nazwa archipelagu na Morzu Koralowym, 500 km na północny wschód od Nowej Kaledonii; odkryty przez Hiszpanów w roku 1606, w XIX wieku zasiedlany przez Francuzów i Anglików, w latach 1906-1980 kondominium Francji i Wielkiej Brytanii, obecnie niepodległe państwo Vanuatu.

³ *Fetyszysta* – tu wyznawca fetysyzmu, pierwotnej religii przyjmującej, że niektóre obiekty naturalne lub stworzone przez człowieka, zwane fetyszami; mają one nadprzyrodzone moce lub zamieszkują je bóstwa.

szlaki karawan, które napadają, grabią i wybijają. Choć są gorzej uzbrojeni niż handlarze i ich ludzie, to przewyższają ich liczebnością, a tysiące tubylców zawsze poradzą sobie z kilkoma setkami tragarzy. Foreloperzy o tym wiedzą, dlatego też główną ich troską jest omijanie takich wiosek jak Ngombe Dara, Kalaka Taimo¹ i innych leżących w krainach nad Aoukadepe² i Bahar-el-Abiad, gdzie misjonarze jeszcze się nie pojawili, ale któregoś dnia dotrą i tam. Żadne obawy nie powstrzymają ich poświęcenie, gdy chodzi o wyrwanie śmierci małych istot i doprowadzanie do odradzania się na lepsze tych dzikich ras pod wpływem cywilizacji chrześcijańskiej.

Od początku wyprawy Portugalczyk Urdax nie zawsze był w stanie unikać napaści tubylców, ale wychodził z nich bez większych strat i uchronił się jak dotąd od strat w ludziach. Powrót zanosił się na przebiegający całkiem bezpiecznie. Okrążywszy tę puszcę od zachodu, karawana osiągnie prawy brzeg Ubangi i podąży w dół tej rzeki aż do jej ujścia na prawym brzegu Konga. Począwszy od Ubangi, kraj jest odwiedzany przez kupców i misjonarzy. Stąd mniejsze obawy przed zetknięciem się z koczowniczymi plemionami, które wskutek działań francuskich, angielskich, portugalskich i niemieckich są powoli wypychane w stronę odległych ziem Darfuru.

Czyżby jednak teraz, zaledwie kilka dni marszu od osiągnięcia upragnionej rzeki, karawana miała zostać powstrzymana w drodze, napadnięta przez tylu rabusiów, że w końcu im ulegnie...? Można się było tego obawiać. W każdym razie nie zginie bez walki i na rozkaz Portugalczyka robiono wszystko, żeby zorganizować obronę.

Urdax, foreloper, John Cort i Max Huber uzbroili się błyskawicznie: chwycili karabiny, zatknęli za pas rewolwery, a ładownice wypełnili nabojami. Wóz zawierał kilkanaście strzelb i pistoletów, które rozdano tym tragarzom, co do wierności których nie można było mieć wątpliwości.

¹ *Ngombe Dara, Kalaka Taimo* – miejscowości nieznane, Ngombe to wioska w pobliżu Bangassou w południowej części Republiki Środkowoafrykańskiej, a także nazwa tamtejszego plemienia; Dara to oboczna nazwa wioski Ndara we wschodniej części Republiki Środkowoafrykańskiej, blisko zbiegu jej granic oraz Kamerunu i Czadu.

² *Aoukadepe* – zapewne chodzi o wspomnianą wyżej rzekę Aoukadebe.

Jednocześnie Urdax wydał swoim ludziom rozkazy, by ustawili się wokół wielkich tamaryndowców, gdzie będą lepiej osłonięci przed strzałami, których zatrute groty zadają śmiertelne rany.

Czekano. Z oddali nie dobiegał najmniejszy odgłos. Nic nie wskazywało na to, żeby tubylcy wyszli z puszczy. Ognie były ciągle widoczne, a tu i tam ich ruchy wieńczyły wysokie pióropusze żółtawego dymu.

– To zwykłe pochodnie noszą tam na skraju drzew...

– Bez wątpienia – potwierdził Max Huber – ale ciągle nie pojmuję, czemu ci ludzie to robią, jeśli mają zamiar na nas napaść...

– Ja też nie rozumiem ich działań – dodał John Cort – choćby nawet nie mieli tego zamiaru.

To rzeczywiście było niewytłumaczalne. Co prawda, czy należało się dziwić, skoro chodziło o zbójów znad górnego biegu Ubangi...?

Upłynęło pół godziny bez żadnych zmian w sytuacji. Cały obóz czuwał uważnie. Spojrzenia przetrząsały dalekie mroki na wschodzie i zachodzie. Kiedy na południu lśniły ognie, jakiś oddział mógł się przecież skradać z boku, aby pod osłoną ciemności zaatakować karawanę.

W kierunku tym równina była na pewno pusta. Pomimo głębokich mroków nocy napastnicy nie zdołają zaskoczyć Portugalczyka i jego towarzyszy, zanim ci nie zrobią użytku ze swej broni.

Nieco później, około jedenastej, Max Huber, oddaliwszy się kilka kroków od grupy złożonej z Urdaksa, Khamisa i Johna Corta, powiedział pewnym głosem:

– Trzeba pójść na zwiad...

– Czy to konieczne? – zapytał John Cort. – Czy zwykła rozważa nie zaleca, abymy aż do świtu nadal obserwowali nieprzyjaciela...?

– Mamy czekać... czekać... – odparł Max Huber – gdy nasz sen został już tak nieszczęśliwie przerwany... czekać jeszcze sześć, siedem godzin, z ręką na spuście strzelby...?! Nie! Trzeba jak najszybciej się dowiedzieć, co tam się dzieje...! Jeśli w końcu okaże się, że ci tubylcy nie mają złych zamiarów, nie pożałuję, kiedy ponownie skulę się aż do ranka na łożu z korzeni, na którym miałem takie piękne sny!

– A co pan o tym myśli...? – zapytał John Cort Portugalczyk, który stał w milczeniu.

– Propozycja ta może być warta przyjęcia – odparł ten – ale postępujemy rozważnie...

– Chętnie pójdę na zwiady – powiedział Max Huber – i można mi zaufać...

– Pójdę z panem – dodał foreloper – jeśli pan Urdax nie ma nic przeciwko temu...

– Tak na pewno będzie lepiej – zgodził się Portugalczyk.

– Też mogę do was dołączyć... – zaproponował John Cort.

– Nie... zostań, przyjacielu – sprzeciwił się Max Huber. – My dwaj wystarczemy... Zresztą nie posuniemy się dalej, niż okaże się to konieczne... a jeśli trafimy na oddział idący z tamtej strony, wrócimy z całym pośpiechem...

– Upewnijcie się, że macie sprawną broń – zalecił John Cort.

– Już to zrobiliśmy – odparł Khamis – ale mam nadzieję, że nie będziemy zmuszeni jej użyć podczas zwiadu. Najważniejsze, aby nikt nas nie dostrzegł...

– Też tak sądzę – oświadczył Portugalczyk.

Max Huber i foreloper, krocząc obok siebie, szybko zeszli z pagórka z kępą tamaryndowców. Nieco dalej na równinie nie było już tak ciemno. Człowiek mógł być jednak dostrzeżony dopiero z odległości stu kroków.

Zwiadowcy pokonali ich zaledwie pięćdziesiąt, kiedy zauważyli za sobą Llagę. Nic nie mówiąc, dziecko poszło za nimi, opuszczając obóz.

– Ej! Po co tyś tu, mały...? – zapytał Khamis.

– Tak, Llango – dodał Max Huber – dlaczego nie zostałeś z innymi...?

– No idź... wracaj... – polecił foreloper.

– Och, panie Max – szepnął Llaga – z panem... ja... z panem...

– Przecież wiesz, że twój wujaszek John został tam...

– Tak... ale mój wujaszek Max... jest tu...

– Nie potrzebujemy ciebie...! – powiedział bardzo ostro Khamis.

– Zostawmy go, skoro już tu jest! – odparł Max Huber. – Nie będzie nam przeszkadzał, Khamisie, a swymi oczami dzikiego kota może wykryje w mroku to, czego my nie zdołamy dostrzec...

– Tak... zobaczę... widzę daleko...! – zapewniło dziecko.

– No dobrze...! Trzymaj się blisko mnie – powiedział Max Huber – i miej oczy szeroko otwarte!

Wszyscy trzej ruszyli dalej. Kwadrans później znaleźli się w połowie drogi między obozem a wielką puszczą.

Ognie nadal rzucały blaski u podnóża leśnego masywu, a mniej oddalone płonęły jaśniejszym światłem. Pomimo jednak bystrego wzroku forelopera, pomimo dobrej jakości lunety, którą Max Huber wyjął z futerału, i przenikliwości oczu młodego „dzikiego kota”, nie sposób było dostrzec tych, którzy poruszali pochodniami.

Potwierdzało to przeświadczenie Portugalczyka, że światła poruszają się pod osłoną drzew, za gęstymi zaroślami czy grubymi pniami. Na pewno tubylcy nie przekraczali skraju lasu i może nie zamierzali tego czynić.

Tak naprawdę było to coraz mniej zrozumiałe. Jeśli znajdował się tam tylko zwykły postój Murzynów zamierzających udać się o świcie w dalszą drogę, to po co urządzili ową paradę świateł na skraju lasu...? Czy jakiś nocny obrzęd trzymał ich o tej porze na nogach...?

– Zastanawiam się nawet – powiedział zamyślony Max Huber – czy zauważyli naszą karawanę i wiedzą, że obozuje wokół tamarynowców...

– To rzeczywiście jest możliwe – odparł Khamis – jeśli przyszli dopiero po zmierzchu, kiedy noc ogarnęła już równinę, a ponieważ wygasiliśmy nasze ogniska, mogą nie wiedzieć, że obozujemy w tak małej odległości... Jutro jednak o świcie zobaczą nas...

– Chyba że wcześniej odejdziemy, Khamisie.

Max Huber i foreloper ruszyli dalej w milczeniu.

Przebyli w ten sposób mniej więcej pół kilometra, tak iż znajdowali się teraz w odległości zaledwie kilkuset metrów od puszczy.

Na powierzchni ziemi oświetlanej od czasu do czasu sięgającymi daleko blaskami pochodni nie dostrzegali nic podejrzanego. Nie była

w ich świetle widoczna żadna sylwetka ani na południu, ani na wschodzie, ani na zachodzie. Nic nie wskazywało na rychłą napaść. Ponadto, choć byli już tak blisko skraj lasu, ani Max Huber, ani Khamis, ani Llanga nie zdołali wypatrzeć istot zdradzających swą obecność tymi licznymi ogniami.

– Czy powinniśmy podejść do nich jeszcze bliżej...? – zapytał Max Huber po kilku chwilach postoju.

– A po co...? – odparł Khamis. – Czy byłoby to rozsądne...? Jest mimo wszystko możliwe, że nasza karawana nie została zauważona, i jeśli zwiniemy obóz jeszcze tej nocy...

– Chciałbym jednak zyskać pewność...! – stwierdził Max Huber. – Wszystko tu dzieje się w tak dziwacznych okolicznościach...

Wystarczyło tyle, aby pobudzić żywą wyobraźnię Francuza.

– Wracajmy na pagórek – odrzekł foreloper.

Musiał się jednak jeszcze zbliżyć w ślad za Maksem Huberem, którego Llanga nie chciał za nic zostawić... I być może wszyscy trzej doszliby aż do skraj lasu, gdyby Khamis się w końcu nie zatrzymał.

– Ani kroku dalej! – powiedział cichym głosem.

Czy to zagrażające rychle niebezpieczeństwo sprawiło, że foreloper i jego towarzysz przerwali swój marsz...? Czy dostrzegli grupę tubylców...? Czy spodziewali się napaści...? Na pewno zaszła nagła zmiana w rozmieszczeniu ogni płonących na brzegu puszczy.

W jednej chwili zniknęły one za zasłoną pierwszych drzew, ledwo widocznych w głębokich ciemnościach.

– Uwaga...! – powiedział Max Huber.

– Cofnijmy się...! – odparł Khamis.

Czy powinni się wycofać z obawy przed mającą nastąpić za chwilę napaścią...? Być może. W każdym razie nie powinni walczyć w odwrocie, jeśli nie byli przygotowani do odpowiadania ciosem za cios. Nabite karabiny przyłożyli do ramion, podczas gdy ich spojrzenia nieustannie przetrząsały ciemne masy drzew rosnących na skraj puszczy.

Nagle z tej ciemności blaski wyłoniły się ponownie w liczbie około dwudziestu.

– Do licha! – zawołał Max Huber. – Tym razem jeśli nie jest to niesamowite, to przynajmniej jest dziwne!

Słowo to wydawało się uzasadnione, gdyż pochodnie, niedawno płonące na poziomie równiny, rzucały teraz silniejsze światła na wysokości od pięćdziesięciu do stu stóp nad powierzchnią ziemi.

Ani Max Huber, ani foreloper, ani Llanga nie zdołali natomiast dostrzec choćby jednej z istot poruszających tymi pochodniami, a to na niższych konarach, a to na wyższych, jakby przez owo gęste listowie przeleciała ognista wichura.

– Och! – zawołał Max Huber. – Czy to nie błędne ogniki migoczące na drzewach...?

Khamis pokręcił głową. Takie wyjaśnienie zjawiska ani trochę go nie zadowalało.

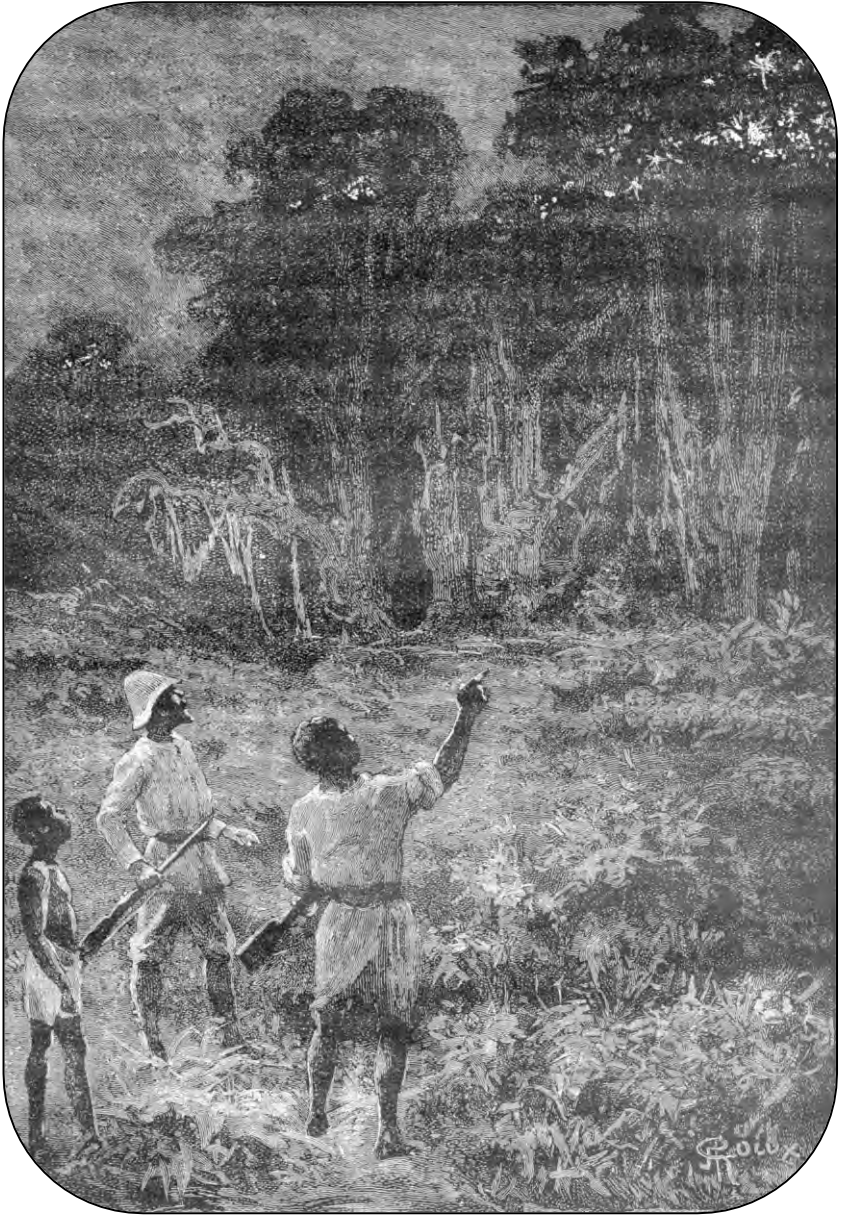
Na pewno było wykluczone, aby wodór ulatniał się tam płonącymi wyziewami, zapalając owych dwadzieścia płomieni, jakie burze zsyłają zarówno na gałęzie drzew, jak i na drzewca statku; światel tych nie można było także wziąć za kapryśnie wytryskające ognie świętego Elma¹. Powietrze nie było ani trochę przesycone elektrycznością, a chmury groziły raczej zesłaniem jednego z tych ulewnych deszczy, które często zalewają środkową część Czarnego Kontynentu.

Czemu jednak tubylcy obozujący pod drzewami mieliby się na nie wspiąć, jedni do pierwszych konarów, inni aż na najwyższe gałęzie...? I w jakim celu poruszałiby się z gorejącymi szczapami, żywicznymi pochodniami, których spalanie wywoływało trzaski słyszalne nawet z tej odległości...?

– Podejdźmy... – powiedział Max Huber.

– Nie ma po co – odparł foreloper. – Nie sądzę, aby nasz obóz był zagrożony dzisiejszej nocy i lepiej wróćmy, żeby uspokoić naszych towarzyszy...

¹ *Ognie świętego Elma* (ogień świętego Bartłomieja, ogień Kastora i Polluksa) – słabe, przeważnie ciche wyładowania elektryczne w atmosferze ziemskiej, mające postać świecących wiązek pojawiających się na narożach i krawędziach przedmiotów znajdujących się nad powierzchnią ziemi (piorunochrony, maszty statków itp.); ich obecność świadczy o dużej różnicy potencjałów pomiędzy ziemią a chmurami i zwykle wskazuje na rychłe przyjście burzy; często towarzyszą im odgłosy syczenia, świstu lub głośnego gwizdu; niewidoczne za dnia, w nocy i podczas dużego zachmurzenia przybierają postać łuny bądź wytryskujących z różnych miejsc świetlnych miatelek.



– Do licha! – zawołał Max Huber. – Tym razem
jeśli nie jest to niesamowite, to przynajmniej jest dziwne!

– Bardziej ich uspokoiemy, Khamisie, kiedy się dowiemy, co sądzić o charakterze tego zjawiska...

– Nie, panie Maksie, nie posuwajmy się dalej... Jest pewne, że jakieś plemię zebrało się w tym miejscu... A z jakiego powodu ci koczownicy poruszają pochodniami...? Dlaczego schronili się na drzewach...? Może uciekają przed dzikimi zwierzętami, które spostrzegły te ognie...?

– Dzikimi zwierzętami...? – powtórzył Max Huber. – Przecież pantery, hieny, dzikie bawoły już by wyły albo ryczały, a jedynym odgłosem, jaki do nas dobiega, jest trzaskanie tych żywicznych pochodni, grożących podpaleniem lasu...! Chcę się dowiedzieć...

Max Huber podszedł kilka kroków, a za nim Llanga, którego Khamis bezskutecznie przywoływał do siebie.

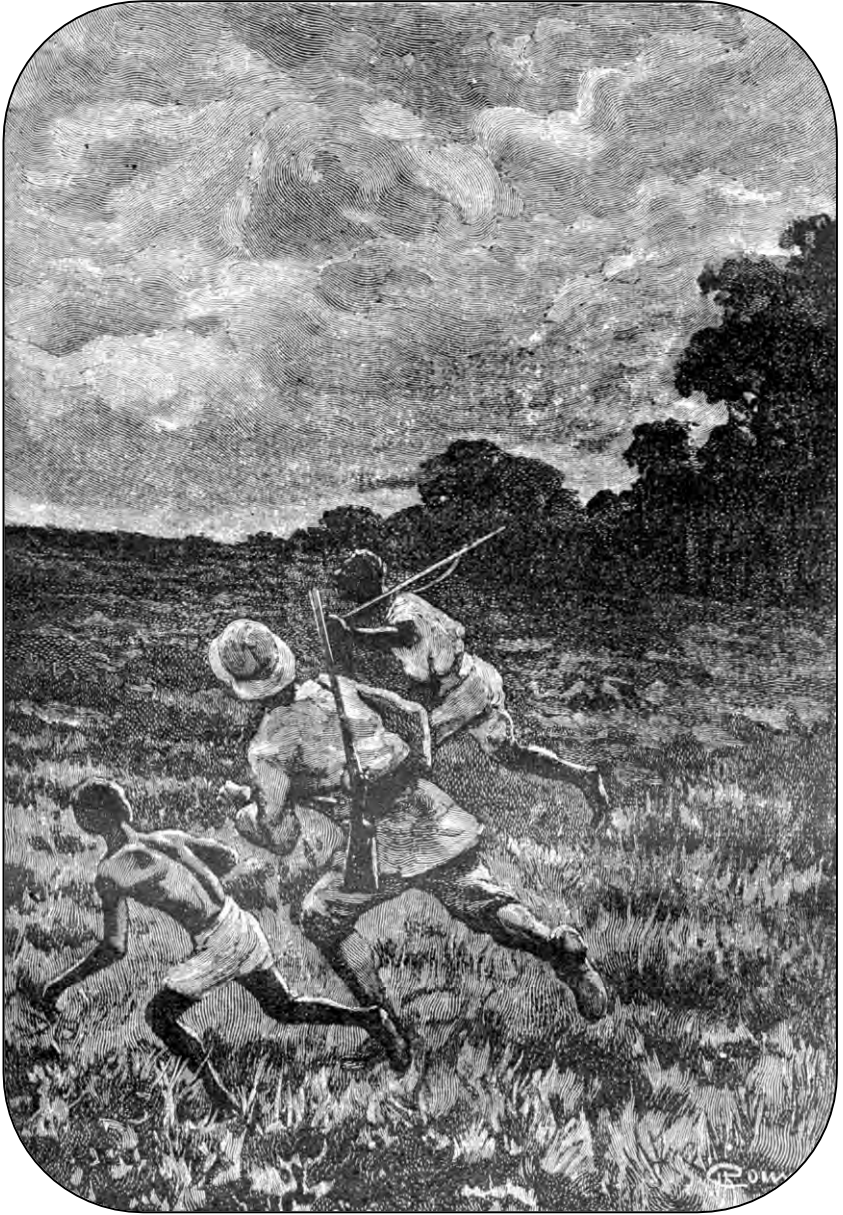
Foreloper wahał się, co ma robić wobec niemożności powstrzymania niecierpliwego Francuza. Nie chcąc pozwolić na nierozważne działania w pojedynkę, postanowił towarzyszyć im aż do drzew, choć jego zdaniem było to niewybaczalne zuchwalstwo.

Nagle zatrzymał się w tej samej chwili, gdy stanęli Max Huber i Llanga. Wszyscy trzej odwrócili się plecami do lasu. To nie blaski przyciągały teraz ich uwagę. Zresztą pochodnie zgasty jak od podmuchu nagłego huraganu, a horyzont ogarnęły głębokie mroki.

Z przeciwnej strony dobiegał odległy hałas, czy raczej koncert przeciągających się ryków, nosowego chrząkania, jakby gigantyczne organy wysyłały na powierzchnię równiny potężne fale dźwięków.

Czy to burza się rozpętała w tej części nieba, czy to jej pierwsze grzmoty zakłócały powietrze...?

Nie...! Nie nastąpiło żadne z tych zakłóceń pogody, które tak często nawiedzają Afrykę równikową między jednym wybrzeżem a drugim. Charakterystyczny ryk zdradzał swe pochodzenie zwierzęce i nie wywołało go żadne odbijające się echem wyładowanie pioruna zachodzące w głębinach nieba. Wydobywał się prędzej z ogromnych gardel niż z naładowanych elektrycznością chmur. Ponadto niższych stref powietrza nie przecinały płomienne zygzaki następujące szybko po sobie. Nie było żadnych błyskawic nad horyzontem północnym,



– Zmykajmy! – powiedział foreloper – i to biegiem!

równie ciemnym jak południowy. Wśród nagromadzonych chmur nie było także żadnych śladów ognia między cirrusami¹, rozdętymi niby bele oparów.

– Co to, Khamisie...? – zapytał Max Huber.

– Do obozu... – odparł foreloper.

– Czyżby to było...?! – zawołał Max Huber.

I zwróciwszy w tym kierunku uszy, wychwycił wyraźniej trąbienie, często równie przenikliwe jak gwizd lokomotywy, dobiegające pośród głośnych ryków, o mocy narastającej wraz z ich nadciąganiem.

– Zmykajmy! – powiedział foreloper – i to biegiem!



¹ *Cirrusy* – chmury pierzaste, zbudowane z kryształków lodu, występujące wysoko w troposferze, powyżej 6000 m od powierzchni ziemi, zwykle zapowiadają pogorszenie się pogody.

Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!